

# Szkatułka babuni

Bolesław Prus



calibre 0.9.43

# SZKATUŁKA BABKI

Bolesław Prus

Zapaliwszy ofiarny knotek w lampce szafirowej, siadła babunia na starym skórzanym fotelu i zaczęła odmawiać poranny pacierz wzniósłszy oczy do szerniałego, ale cudownego obrazu Matki Boskiej. Drżącym szeptem, myląc się i zapominając niekiedy, dziękowała Królowej nieba za ugaszenie przed dwudziestoma laty pożaru w stodołach i odpędzenie (dawniej jeszcze) od pół chmury gradowej. Potem modliła się za syna, synowę i wnuka, za sąsiadów, służbę i dobytek, w końcu zaś wspomniała długi szereg zmarłych krewnych, przyjaciół i znajomych.

Promienie słońca, ucałowawszy kwiaty stojące w oknie, ślizgały się po białej ścianie pokoiku, a odbite od stóp świętego obrazu, nagrzewały kota, który się przy fotelu wyciąg-gał, i otaczały jasnością brunatna; twarz babuni tudzież suche jej ręce, pokornie do modlitwy złożone. A ile razy staruszka podniesionym nieco głosem mruknęła: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie...”, i milkła, tyle razy knotek, już dotykający wody w lampce, cieniutko odskwierczał: "A światłość wiekuista niechaj im świeci..."

Nie dziwiło to babuni, która dobrze wiedziała, że światłość z knotka pochodzi i że jemu zatem mówić o niej przede wszystkim wypada.

Po ogólnym następował szczególny pacierz za jasnowłosa, duszę Kazia nieboszczyka, najukochańszego wnuka, który zmarł mając lat cztery, a dziś miałby już osiem! ... Prawie zawsze przy wspomnieniu o tym łzy z oczu płynęły nie bódze. Ach! czemuż dano go przeżyć jej, która od tak dawna ma gotową nad łóżkiem żółtą gromnicę, w kądziel spowitą? W jakim celu trzyma ją Bóg na tej ziemi, gdzie słońce z każdym dniem blask traci, drzewa i kwiaty bledsze są i mizer- niejsze niż kiedyś, gdzie lato od pewnego czasu jest tak zimne, że w lipcu watowanego kaftana zrzucić nie można? Nie lepiejże byłoby jej — tam, w niebieskim pokoiku, z Kaziem mieszkać i przez uchylone okno słuchać anielskich chórów aniżeli tu, bolejąc za wnukiem, dziwić się, że jedne ptaki jakoś schrypiły, a inne nawet zupełnie głos straciły?

Człowiek stary tak tęskni do śmierci jak spracowany robotnik do snu twardego. Świat go nie bawi, otaczający nie rozumieją, a żal ciągnie na drugą krawędź tej jamy ciemnej, którą już przekroczyli najbliżsi. Może w ich gronie szczęśliwym znajdziemy tę młodość, która nas zdradziecko w początkach życia odbiegła, i ukojenie tęsknoty, której całun wszystkie jego blaski zasłania. Może na końcu łańcucha pół- . sennych dni i nocy bezsennych zajaśnieje nareszcie brzask wiekuistego słońca, w którego promieniach dusza znajduje nieśmiertelność, a serce zaspokojenie pragnień? . . .

Babunia wyjrzała oknem i przyszło jej na myśl pytanie, dlaczego dziedziniec ten, wielki za dni dziecinnych, w młodzieńczym wieku wydawał jej się zbyt małym, a dziś znowu urósł tak, żeby go i za godzinę nie przeszła? ... Ale wnet zapomniała poprzedniej myśli i zaczęła się troszczyć o to, że Kazio od samego rana wyszedł z pokoju i jeszcze się zaziębi na rosie. Przez chwilę nie mogła sobie wyobrazić, że Kazia nie ma na dziedzińcu.

Przecież dopiero co dawał cukier swej klaczce, dopiero co wszedł za lipy między krzaki bzu,

które chwieją się jeszcze... Przetarła oczy, chciała zawołać: „Kaziu! Kaziu! a chodź no do babci”... — lecz znowu zapomniała się. Widzenia znikły, nawet zmęczona myśl pierzchła jak ten oto cień umykający z trawnika, i tylko gdzieś na samym dnie duszy pozostał okruch smutku niejasnego, na pozór bezprzytomnego, a jednak bardzo gorzkiego.

W tej chwili wbiegła do pokoju mała dziewczyna wiejska, bosi trzpiot z rozpiętą na piersiach koszulą, i krzyknęła babci nad uchem, że państwo ze śniadaniem czekają. Staruszka popatrzyła na nią gniewnie i opierając się na krawędzi fotelu i na ramieniu dziewczyny, mruknęła:

— Oh! ty... ty, wariatko jakaś!... Miałam coś bardzo ważnego na myśli, a ta mi przeszkodziła. Zawsze wpada do pokoju jak sowizdrzał, jeszcze się kiedy uderzy o co i rozsypie!...

Wzięła dziewczynę pod rękę i drżąca, pochylona szła, wciąż gderając:

— Czego ty tak wyskakujesz?

- Ja nie wyskakuję, proszę pani.

- To czego się tak trzęsiesz, pewnie za lataniem, co? - Ja się nie trzęsę...

- Słyszycie ją?... Ona mi będzie kłamstwo w żywe oczy zadawała!... Przecież ja po mojej ręce widzę, że cała dygoczesz.

- O, jak to pani od samego rana dokucza! - ofuknęła dziewczyna i ze złości odwróciła głowę od lokaja, który stojąc w sieni śmiał się i zęby wyszczerzał.

- Nie narzekaj, głupia! - rzekł lokaj robiąc miny zuchwałe. - Starsza pani nabeszta, ale za to da ci kolędę taką co ha!...

I wnet dodał półgłosem:

- Na bezrok! jak psu piąta noga urośnie.

Dziewczyna parsknęła śmiechem i zatkała pięścią usta.

— Co ty katar masz, że tak kichasz? — spytała już łagodniej starowina. — Zawsze mówiłam, że na złe ci wyjdzie latanie.

Lokaj taki był kontent, że aż się położył na stole. Co to za radość dla niego, że skąpa starsza pani, od której grosza nigdy nie widział, nie umie odróżnić kichania od śmiechu!

Ciągle opierając się na rękę dziewczyny, strudzona i zadyszana babunia weszła w końcu do jadalnego pokoju. Syn i synowa ucałowali jej ręce, lecz gdy chciała usiąść na krześle obok młodej gospodyni, przy samowarze kipiącym, synowa rzekła:

— Niech mameczka usiądzie na drugim krześle tu jest miejsce dla niańki i Władzia.

— Chciałam się trochę rozgrzać...

— Jakże się dziś miewa mameczka? — spytał syn...

— Wcale dobrze! — odparła staruszka. — Mam jakoś więcej sił, i gdyby nie te chłody na dworze...

- Co też mama mówi!... Na dworze jest gorąco jak w piecu.

Babunia, zajęta maczaniem bułki w kawie, której część już wylała się na spodek, nie słyszała ostatnich słów syna i poczęła mówić jakby do siebie:

- Był u mnie dziś Kazio...

Syn i synowa zamienili spojrzenia.

- Był taki jakiś mizerny, że boję się, czy nie jest słaby...

- Tam, moja mameczko, nikt nie choruje! - wtrąciła synowa.

- On i tu nie chorował, robaczek... Tylko w ostatnim miesiącu coś mu się takiego zrobiło, że co dzień siły tracił, w oczach nikł... Przynieś no mi chustkę, Kachna, z mego pokoju! - mówiła staruszka czując, że ma oczy łez pełne.

— Com ja się doktorowi napłaciła — ciągnęła dalej — ażeby mu zdrowie wrócił, com ja się

Boga nie naprosiła, ażeby mnie zabrał, a jego zostawił; wszystko na próżno!... — Może mameczce śmietanki dolać? — zapytała synowa, którą opowiadanie babki, aczkolwiek co dzień powtarzające się, bardzo drażniło. Syn tymczasem zwiesił głowę, oparł lewą rękę na stole, a palcami prawej kręcił machinalnie gałki z chleba.

— Może mameczce dolać? — powtórzyła synowa.

— Śmietanki?... — spytała babunia. — Co ja miałam mówić, czy o Kaziu?... Nie, prawda!... Chciałam powiedzieć, że śmietanka z mego kamiennego garnuszka była lepsza. Ale i on się stłukł... Czy to kto jedzie?...

— Nie, to samowar syczy.

— Jakieś dziwne samowary sprzedają teraz... Synowa spojrzała na męża i pokręciła głową, jakby chcąc powiedzieć, że babunia robi się coraz bardziej niedołączna; On tylko westchnął i zapewne na znak smutku przykrył spodkiem rój much, które do szklanki powłaziły.

Weszła do jadalni niańka z tłustym, świeżo umyтым chłopcem na ręku. Matka wybiegła naprzeciw nich, pochwyciła synka i po raz może dwudziesty, choć był dopiero ranek, uściskała go i ucałowała namiętnie. Tłusty chłopak tymczasem zwrócił szafirowe oczy na siedzącą już przy stole niańkę, potem na szklankę leciutkiej kawy dla niego przeznaczonych, potem, nie spuszczać oka ze szklanki, poślinił rękę, którą mu ojciec dał do pocałowania, a wreszcie zaczął wydzierać się i krzyczeć. Posadzono go na kolanach piastunki, uporządkowano różowe, pofałdowane nogi w taki sposób, aby ich nie opierał na stole, i obtarto mu rączki, które przed chwilą w szklankę włożył.

Babunia, zatrzymawszy w połowie drogi łyżeczkę, którą niosła do ust, smutnie patrzyła na kręcącego się wnuka i znowu poczęła mówić głosem wątłym i jednostajnym:

— Tak właśnie Kazio siedział u mnie na kolanach. Była może trzecia po południu. Otworzyłam okno, ażeby powietrzą ciepłego trochę naszło, myśląc, że go to orzeźwi. Wtedy akurat Wawrzek wypuścił klaczkę Kazia na dziedziniec. On, biedak, patrzył na nią, pokazywał paluszkami, a nareszcie powiedział: „Babciu!... widzisz, jak moja klaczka bryka!” — i zsunął mi się na ręce martwy... O, dlaczegóż mi serce do reszty nie pękło!...

Skończywszy połknęła łyżeczkę rozmoczonej bułki, a potem zaczęła jęczeć i szlochać. Po jej twarzy, bruzdami okrytej, z zaczerwienionych oczu płynęły łzy; żuła bułkę i płakała myśląc o Kaziu, który ją tak wcześniej porzucił.

— Może się teraz mama herbaty napije? — zapytała synowa.

— Dobrze, choć nic już nie mam apetytu... A połóż mi kawałek cukru na spodeczku, to dam klacze, jak ją zobaczę.

Synowa była dobrą kobietą, lecz biadania staruszki usposobiły ją tak dziwnie, że kładąc cukier na spodku, ze złośliwą intencją rzekła:

- Niech jej mama da dwa kawałki, i to zaraz, bo już po południu klaczki nie będzie.

- Klaczki?... Kaziowej?... - spytała babunia.

- A tak. Mąż sprzedaje ją i siwka Wesołowskiemu, który potrzebuje białej czwórki na wesele.

Syn znowu zaczął bębnić palcami po stole, patrząc na strumień pary, który z gwizdem wydobywał się z samowara.

Babka z początku zdawała się nie rozumieć słów synowej; stopniowo jednak poczęła ożywiać się. Na wypukłym, огоłoconym z włosów czole nabrzmiały jej żyły, oczy zaiskrzyły się, usta przycięły. Spojrzała ostro w twarz synowi i zapytała głosem silnym i bardziej niż kiedy stanowczym:

- Jak to, Jasiu, więc prawda, że sprzedajesz klaczkę Kazia?

— Jeżeli dają mi trzysta rubli za parę, dlaczegóżbym nie miał sprzedać? — spytał pan Jan zatrzymując wzrok na dębowym kredensie.

— Boże miłosierny, czego ja dożyłam! — zawołała staruszka łamiąc ręce. — Ależ ta klaczka to prawie ostatnia pamiątka po Kaziu!...

— Moja mamó — przerwała synowa — przecież ja byłam matką, a Jaś ojcem nieboszczyka Kazia, kochamy go więc i pamiętamy o nim równie dobrze jak ktokolwiek bądź... W tym jednak wypadku nie widzimy racji, dla której nie mielibyśmy sprzedać koni za tak dobre pieniądze...

— Oj, te pieniądze! — mruknęła babka. — Ludzie dzisiejsi za pieniądze oddaliby własne dzieci.

— Afektuje mameczka! — wtrącił syn.

— Och! jakżeście wy łatwo zapomnieli o tym biedaku! — mówiła wzburzona staruszka. — Jakiem tylko miała zabawki po nim, oddaliście Władziowi, który je tego samego dnia popsuł. Jego łóżeczko darowaliście ekonomowi, a wózek gnije w szopie, choć ze łzami błagałam was, abyście go zostawili w moim pokoju. Teraz przyszła kolej na klaczkę, którą własną ręką karmił, woził się na niej, całował ją...

- Jeżeli mama rzeczywiście tak ceni pamiątki po Kaziu - rzekł już zniecierpliwiony syn - to któż mamie broni kupić ode mnie oba konie? Tym sposobem ja nie zostanę skrzywdzony i klacz nie opuści domu. Trzysta rubli toć przecie nie tak znowu wielki kapitał, a mnie się przyda.

- Właśnie chciałam to samo powiedzieć... Z ust mi wyjąłeś! - wtrąciła bardzo ożywionym głosem synowa.

Rozdrażnienie babki było tak wielkie, że bez trudności na pozór, sama powstała z krzesła.

— Ja mam dać trzysta rubli? — spytała. — Ja?... Nadbiegła dziewczyna i podała rękę staruszce, która

z nieopisanym żalem spojrzawszy na syna wyszła do siebie jakaś wyprostowana i żwawsza. Dopiero w pokoiku upadła ciężko na fotel, zapłakała i wkrótce potem zasnęła.

— Dziwna to ta starość — rzekł po chwili milczenia pan Jan do swej małżonki. — Roztkliwia się nad byle drobiazgiem, co dzień roni łzy nad wspomnieniami, ale okazuje dużo hartu wówczas, gdy mowa o pieniądzach.

Milczenie.

— Mama istotnie od kilku lat bardzo się zmieniła — dorzuciła synowa. — Dawniej hojna dla służby i dla nas, dziś nikomu grosza dać nie chce...

— Jużci to jaśnie pani ma świętą racją! — wtrąciła niańka. — Jak żył Kazio nieboszczyk, nie było miesiąca, żeby człowiek czego nie oberwał, i nie tyło ja, ale lokaj, furman i dziewczuchy. A teraz to starsza pani strasznie się trzęsie za groszem, nawet i sobie nic nie kupi.

- Wada wieku! - mruknął pan Jan.

Znowu nastała cisza, którą przerywał tylko brzęk much i bełkotanie małego Władzia.

- Ciekawam, jaki też matka może mieć kapitał? - spytała zamyślona synowa.

- Trudno odgadnąć - odparł mąż. - Wiem tylko, że matka od śmierci swego brata wydała na nasz dom, na rozmaite nabożeństwa i podarunki około dziesięciu lub piętnastu tysięcy rubli, ale nie wiem tego, ile jej wuj ciepłą ręką zostawił... Może już nie ma nic?...

- Daj spokój! ty wiesz, że nie jest tak źle - odparła z uśmiechem pani.

- Oj! oj! - odezwała się niańka. - Na co tu jaśnie pana, kiej we dworze wszyscy wiedzą, że pani starsza ma kupę pieniędzy.

— Skądże wiedzą? — spytał pan podnosząc nagle głowę.

— Albo to ja, proszę jaśnie pana, nie widziałam, jak starsza pani zamyka się w pokoju, roletę zapuści, dobywa szkatułkę ze skrzynki i liczy cosik nieraz przez całe pół dnia. Tak rychtyczek jak nieboszczyk dziekan z Pałak, co to nie dojadł, nie dopijał, mieszkał i ubierał się jak dziad, a po

nocach ruble i dukaty kwaterką mierzył. Służyłam wtedy za dziewczę u organisty, tośmy się bywało nieraz zakradli pod okno i przez szpary w okiennicy podpatrywali jegomości. Już ja chyba do śmierci nie ujrzę takich strasznych pieniędzy!...

Umilkła niańka zajęta utulaniem płaczącego Władzia, który się uderzył rączką o stół. Przestraszona matka zapomniała o wszystkim całując i chuchając na tłuste paluszki jedynaka, a pan Jan wciąż bębnił w ceratę i myślał o dziwactwach starości. Kto by przypuścił kiedy, że jego matka, ta hojna, wspaniałomyślna i wesoła pani, znajdzie dziś jedyną przyjemność w chowaniu i rachowaniu pieniędzy i w opłakiwaniu zmarłego wnuka, około którego krótkiej mogiłki już gaj drzew gęstych wyrósł!

W godzinę potem grzecznemu Władziowi wsadzono na główkę muślinowy czepeczek i słomiany kapeluszek, ubrano go w białą, długą sukienkę, jakiej używają panny do jazdy wierzchem, i wysłano z niańką na spacer. Piastunka obeszła z nim dziedziniec dokoła, a gdy zasnął, siadła pod cieniem lip, naprzeciw stajni. Spłoszone z drzew wróble stanęły rzędem na sąsiednim płocie i świergocząc, pilnie przypatrywały się dziecku, nad którego głową kilka pszczoł nuciło pieśń jękliwą, a ciepły wiatr południowy, to rozchylając, to zamykając szeleszczące gałązki, dmuchał mu w pyzatą buzię i wywoływał zmarszczki na czole nie zaćmionym jeszcze chmurą myśli.

W tym samym czasie stangret Wawrzyniec wiązał u płotu konie skazane na sprzedaż. Wysoki ten, barczysty człowiek, z rzadkimi włosami, którym nie obcą była woń powozowego smarowidła, przeklinał szcztokę i zgrzebło, narzekał na ciężkie obowiązki i okrutnie popychał Bogu ducha winne konie, które co chwilę odwracały łby i spoglądały na niego z podziwieniem.

— Noga! złodziejski synie — wołał stangret na siwka wycierając mu kopyto. — Teraz będziesz pamiętał, co znaczy służba u panów... Nie pchaj się, ty wściekła sobako! — mówił do klaczki — bo jak cię huknę drągiem po krzyżu, to wyplujesz parę i pójdziesz do rymarza... Póki cię potrzebowali, to dawali ci cukierki, a teraz sprzedają cię jak wieprzka... I hi! pójdę chyba i ja za wami, psie wiary, bo jak was nie stanie, to nie będzie nawet do kogo porządnego w stajni pyska otworzyć.

— Brum! — parsknął siwek.

— Zdrowo! — odpowiedział Wawrzyniec. — Nie bój się! odejdzie ci z połowa ochoty, jak pójdziesz w cudze ręce. Nie będą dla ciebie kradli owsa fornalskim koniom, i jeszcze daj Boże, żeby cię samego nie krzywdzili! Jakie to karczysko u niego, jaki zad, jakby u jakiej hrabiny!

Niańka, którą okropnie język świerzbiał, ile razy słyszała gadanie, zachwyciwszy rozmowę Wawrzyńca z końmi, otworzyła parasolkę i ze śpiącym dzieckiem zbliżyła się do płotu.

- To ci dopiero Wawrzyniec dostanie od Wesołowskie-go uzdo we! - rzekła z uśmiechem.

Markotny Wawrzyniec spojrział spode łba na babę, plunął przez zęby i posądzając ją widocznie o chęć naigrawania się nad nim, wrzasnął:

- Myśl lepiej o tym, żebyś za rok mamką została, a do koni mi się nie wścibiaj!... Nie bój się! oddałbym ci i te uzdowe i jeszcze co batem z łaski swojej dołożył, żeby ino nie sprzedawać tych konisków, a ona mi tam uzdowe wymawia!...

— Olaboga, a cóż to wy myślitą, że mi tak pilno konie sprzedać?

— No, to czego trajkoczesz?

— A bo mi ich żal — odparła niańka, a czując, że się mały budzi, poczęła śpiewać:

— Aa — aa! lu! lu! lu!... Aa — aa!...

— Takie to tam babskie żale! Choćby i największy był, wycieknie z niej jak woda z dachu... Tylko tyle, że sobie oczy przepłucze, a żeby lepiej za chłopami zerkać mogła.

— Myślicie, że mi ich nie żal?... Albo to i mnie nie lepiej było jeździć z panią do kościoła we czwórkę? Bywało, jak człowiek wysiadł z dzieckiem z powozu i obejrzał się, co tyle koni przed nim

wierzga, to tak jakby mu kto...

— Soli nasypał! — wtrącił stangret szcztokując białą klaczkę.

— Gdzie zaś! — odparła nie zmieszana tym niańka. — Ale teraz — zakończyła z westchnieniem — jak siądziemy w tyle osób na parę koni, to jeszcze nas kto policzy niby Żydów, kiedy z jarmarku wracają.

Wawrzyniec podrapał się zgrzeblem w kolano, potem, przewiesił rękę przez łukowaty kark klaczkę i z litością patrząc na niańkę rzekł:

- Babski żal, i tyle! Jej chodzi o to, żeby się czwórką do kościoła dryndała, a nie może pomiarkować sobie, że koń to nieraz lepszy od innego człowieka i że kto konia sprzedaje, to tak jakby rodzzonego brata sprzedał.

- Wiesz ty - mówił dalej - że kiedym ja zaraz po Wielkiej Nocy na krzyż chorował, to mnie ten oto hycel siwek dopóty pyskiem tarł, dopóki mnie nie odeszło?... Rodzona matka by mi lepiej nie dogodziła, aż mi koszulę podarł!...

Oj, ty! — ciągnął klepiąc konia po szyi — żebym ja był tak jak nasz pan, to byś ty u mnie w sali stał i z fortepianu jadał... Ale. u naszego pana rubel więcej wart niż przyjaciel?

— Jeszcze on nie tyle winien co stara — rzekła niańka. — Sama przecie słyszałam, jak gadał do niej, żeby mu za konie trzysta rubli dała, to by już u nas zostały.

— Może? — spytał furman.

— Sprawiedliwie, że tak!... Ale stara skąpa, choć ma grosze.

— O, ma! — potwierdził Wawrzyniec. — Pamiętam, że kiedy to miał Kazio konać, to mi dała srebrnego rubla, żebym doktora prędko przywiózł. A teraz, choć i sama jeździ i choć się boi, aż z niej kości wylażą, żeby nie wywrócić na złej drodze, nie da ci nawet, człowieku, i grosika powąchać.

— Chytra starucha, ale też jej okrutnie żal klaczkę!... Poczekaјta no, Wawrzyńcze, tutaj, a ja pójdę do niej do okna, to może ją sumienie ruszy i nie odda konisków w cudze ręce.

To powiedziawszy pobiegła niańka kłusem do okna babuni i podtrzymując jedną ręką senne dziecko, drugą zaczęła pukać.

- Pani! -wołała - a ot klaczkę Kaziowa stoi u płota i chce się z panią pożegnać.

Babcia zwolna posunęła się ku szybom i zrobiwszy z ręki. daszek nad przygasłymi oczyma, spojrzała w stronę koni, które biły kopytami i wyrzucały łby w górę. Chwilę zatrzymała się w tej postawie, a potem nagle spuściła zieloną roletę.

Niedługo niańka plotkarka, która przez szczelinę między oknem i roletą zaglądała do pokoju, pobiegła do pani młodszej z wielkim krzykiem. - Proszę jaśnie pani - mówiła prędko - pewnie już konie w domu zostaną, bo pani starsza dobywa pieniądze ze szkatułki.

— Głupstwa gadasz! — zgromiła ją synowa.

— No, niechże jaśnie pani pójdzie i sama się przekona. I poszły razem sługa i pani pode drzwi babki zaglądać przez dziurkę od klucza.

Istotnie, przy stoliku w głębi pokoju siedziała tyłem do nich odwrócona staruszka, zajęta przepatrywaniem wnętrza sporej szkatułki, obitej skórą dzika i ujętej w mosiężne kłamry. Z pokoju dolatywało je ciche szlochanie, oczywisty dowód tego, jak trudno było babce rozstawać się z pieniędzmi.

— Mateczko! — zawołała w tej chwili synowa — konie Już wyprowadzają.

Krzesło poruszyło się, szkatułka stuknęła, lecz po chwili dopiero odpowiedziała babunia:

— A niech wyprowadzają, cóż ja na to poradzę?

- Więc mateczka nie da Jasiowi trzystu rubli?

Na to pytanie babka nie odpowiedziała nic, tylko szepnęła jakby do siebie:

- Boże mój! com ja im winna, że mnie tak dręczą?... Synowa trochę już obrażona odeszła spode drzwi i rzekła półgłosem:

- Jakaż to straszna choroba skąpstwo i co ona z ludźmi wyrabia!...

Niańka w te pędy dała znać furmanowi, że starsza pani już liczyła pieniądze, ale zobaczywszy tyle srebra i złota pożałowała go i koni się wyrzekła.

- Kiepski to już widać rozum u niej, u starej - rzekł furman. - Ona i tak niedługo popasie, a zawsze by choć i jej ładnie było na cmentarz cugiem paradować aniżeli fornalką!...

Kończył się już wrzesień. Z pól znikło chwiejące się zboże, a na jego miejsce tu i ówdzie wyrosły ogromne, do chat podobne sterty, w których stada wesołych myszy zasiadły. Wszystkie psy, biegające po łąkach i trawnikach, miały nosy omotane nićmi babiego lata, ukośne promienie słońca coraz częściej barwiły purpurą ciemne obłoki, a nad bagnami wieczorem coraz głośniejsz kwakały dzikie kaczki lub narzekały gęsi zabierające się do odlotu.

Na krzakach róży dzikiej czerwieniały wielkie jagody głogu, na dziedzińcu miejsce kwiatów letnich zajęły georgi-nie piękne, różnobarwne, lecz smutne, a każdy silniejszy powiew wiatru strząsał po kilka i kilkanaście żółtych, brunatnych albo czerwonych liści. Spadały one, głucho szeleszcząc i zatrzymując się na każdym pięttrze gałęzi, jakby im żal było macierzystego drzewa, ze szczytów którego nigdy już patrzeć nie będą na falistą ziemię ani od niebios żądać tęczowych kropel rosy!

Staruszka babcia coraz rzadziej wychodziła z pokoju. Męczył ją kaszel, siły rozpraszały się, i tylko paroksyzmy. gorączki od czasu do czasu podniecały energią życia. Pewnego dnia ludzie, kopiący kartofle w polu, usłyszeli na drodze z kościoła do dworu drobny dźwięk dzwonka; zdjawszy więc słomiane kapelusze, pokłękali w brzdach i modlili się za duszę starszej pani, do której ksiądz z Panem Bogiem pojechał.

Tego dnia było z babunią bardzo źle, tak źle, że posłano nawet do miasteczka po stolarza, aby wziął miarę na trumnę. Ale akurat gdy stolarz przyjechał z długą czworogranią-stą linią, która mu wystawała daleko za wasązkę, babuni zrobiło się lepiej. Zjadła nawet rosołu z kury i usiadła na łóżku, otoczona poduszkami.

Odtąd czas jej włókł się bardzo smutno. Była senna, choć zasnąć nie mogła; gdy chciała skupić myśli, zapominała o wszystkim, a gdy rada była zapomnieć o świecie całym, w duszy jej snuły się mroczne marzenia jak rój pajaków w wałącym się budynku. Chwilami nie czuła rąk ani ciepła, napełnionych wrzątkiem kamionek, którymi ogrzewano jej sztywniejące nogi. Niekiedy, gdy kto drzwi otworzył, oglądała się po pokoju jak człowiek, który nagle z piwnicy wyszedł na światło. Zdawało się, że czeka ukazania się śmierci, aby przemówić do niej: „Oto jestem!” Podobna była do liścia, który postradawszy wrażliwość na promienie słoneczne, zwija się apatycznie i usycha. Na wiecznie kwitnącym drzewie ludzkości wyrosły już nowe pączki, gwałtownie rwące się do życia, którym ona z kolei obowiązana była ustąpić, jak jej niegdyś ustąpiono.

Śmierć, która dla jednych jest cierpieniem i niebezpieczeństwem, dla drugich bramą wiodącą do szczęścia, dla innych ucieczką od złego, dla niej była ostatnim aktem znużenia. Dziś nawet nie pragnęła jej, ponieważ umieranie jest jeszcze objawem życia, które jej ciążyło - raczej gasła. Tylko gdy kilka kropel starego wina podsyciło jej energią, gdy we wspomnieniach jak odległy krajobraz zarysowały się jej lata młodości i siły, gdy niewyraźne te, a tak piękne widziadła porównała z obecnym mrokiem, jaki ją nieustannie otaczał, spoglądała na obecnych i z bolesnym uśmiechem pytała: kiedyż się to nareszcie skończy?

Każde dogorywające światło miewa chwile, w których rzuca silniejsze blaski; chwila taka i dla babuni nadeszła. Jakieś niezrozumiałe dla zdrowych i młodych symptomata ostrzegły ją, że wkrótce



w istnieniu jej zajdzie ważna zmiana. Chciała jeszcze zaczerpnąć powietrza, rozejrzeć się po drzewach choć z daleka i prosiła, aby jej okno otworzono. Potem wezwała syna i synowę. Przyszła niania z Władkiem, który trzymał w rękach grzechotkę i trząśł nią co chwilę, przybiegła blada jak ściana Kachna, lokaj, który ten raz zapomniawszy o śmiechu, nie mógł tchu złapać, i kucharz, który już za drzwiami ukląkł i tylko wystraszoną twarz w szczelinie ukazał.

W pokoju babki zrobiło się tak cicho, że było słycać szmer chwiejących się krzaków georginii, trajkotanie dalekiego młyna i gdzieś tam, pod lasem, dźwięki myśliwskiej trąbki. Nawet Władziowi przeszkadzano grzechotać.

— Moje dzieci! — rzekła babunia — i wy wszyscy ludzie kochani, przebaczcie mi złe, jakie wyrządziłam komu w ostatnich czasach. Starość to moja więcej winna niż ja, choć i nade mną niech Bóg ma miłosierdzie!...

- Syn i synowa uklękli przy łóżku starowiny, kobiety zalały się łzami, lokaj chciałby uciec na koniec świata, gdyby go' tylko puszczono, a kucharzowi nie wiadomo skąd przyszło na myśl, że mu pewnie starsza pani dwieście złotych zapisała w testamencie. W tej chwili pocziwiec ślubował naprzód dać na mszę za duszę nieboszczki, a potem wziąć od pana szynk w arendę.

Babunia odpoczęła trochę i zwróciwszy się do syna, mówiła:

- Jasiu! ty wiesz, że byłam dla ciebie dobrą matką. Wychowałam cię, jak mnie stać było, majątek po śmierci ojca z długów oczyściłam, wszystko, com miała, wani oddałam i oddaję... Za to zrób ty mi jedną łaskę... Przynieś, że zrobisz...

- Przysięgam! - szepnął syn.

- Oto gdy umrę, wydobądź z mego kufra szkatułkę i włóż mi ją do trumny... To ostatnia moja prośba, największa... Bo, widzisz, strasznie umierającemu pomyśleć, że przyjdzie chwila, w której on sam nic już sobie nie poradzi, a najdroższe jego życzenia zależeć będą od ludzi obojętnych... Zróbcie mi to!

— Zrobię! — powtórzył syn.

— Niech was Bóg błogosławi!

Nagle podniosła się i spojrzała wokół niespokojnie, jak człowiek, który w gęstwinie drogę stracił. Oczy jej zatrzymały się na synu z wyrazem najgorętszej prośby...

— Szkatułkę!... — jęknęła i potem kilka razy poruszyła ustami, ale już bez wydania dźwięku.

W myśli jej obudziły się wszystkie wspomnienia dzieciństwa, wieku młodego i starości; widziała jakąś małą dziewczynkę zrywającą kwiaty w ogrodzie... jakiś ślub... jasnowłosego Kazia, jego klaczkę... Ogarnęło ją zdumienie, chciała zapytać, czy wszystko to było snem i kto marzył o tych rzeczach?... Oczy jej zamykały się gwałtem, a gdy je otworzyła, ujrzała gromnicę, owiniętą w kądziel, i czerwony, drgający płomień, który coraz to większe koła otaczały. Ale to już widzenie było czystym snem...

Za oknem trzepotało się kilka wesołych wróbli, szeleściły żółte, liliowe i pąsowe georginie, z daleka trajkotał młynek przygotowujący mąkę dla ludzi, ale odgłosów tych już nie chwytalo ucho babuni.

Tym razem stolarz nie na próżno przybył do dworu ze swą linią, a na drugi dzień przywiózł czarną lakierowaną trumnę ze srebrnym krzyżem na wieku.

W kilka godzin po śmierci staruszki przyjechało paru najbliższych sąsiadów. Jeden chciał zająć się pogrzebem i na jaki tydzień zastąpić w gospodarstwie pana Jana, drugi ofiarował pani Janowej swój dom na czas najprzykrzejszy. Oboje państwo podziękowali za dobre chęci, lecz korzystać z nich nie chcieli.

— Zawsze to jednak smutno wam będzie nocować w jednym domu z nieboszczką — zauważył

sąsiad.

— Smutno..., a to dlaczego? — spytała pani. — Przecież nie będę się obawiała pocziwej matki mego męża!

Nad wieczorem zwłoki przeniesiono do salonu, a pan Jan, w części dla rozerwania znękaney myśli, w części dla porządku, w towarzystwie żony przejrzał szufladki nieboszczki. W stoliku *znalazło* się parę sznurków pereł, kolczyki, broszka i pierścionki z drogimi kamieniami. W toalecie było kilka starych holenderskich dukatów razem z poświęcanym kadzidłem i kredą. Ale większych sum nie znaleziono nigdzie.

— Zapewne matka wszystko wydała, co jej brat zostawił — rzekł pan Jan.

Pani spuściła oczy i milczała.

- Trzeba by jednak - rzekła po chwili stłumionym nieco głosem - przenieść tę szkatułkę do salonu. Nieboszczka chciała ją mieć przy sobie.

- Zrobimy to, jak trumna będzie - odparł sucho mąż.

- Ciekawam jednak, ile tam może być?

- Wszystko jedno; przecież nic nie weźmiemy.

- Tak... ale zawsze warto by zobaczyć. Dla mnie ostatnia wola matki jest tak świętą, że choćby nawet było jakieś kilka tysięcy, nie pozwoliłabym ich dotknąć. Był to kaprys, dziwactwo ze strony nieboszczki, ale szanować je wypada...

- Nie mówmy już o tym! - przerwał pan Jan. - Oto masz, oddaję ci te klejnoty...

- Wołałabym je do kościoła oddać na intencją zmarłej; chociaż ona była tak świętą kobietą, pomimo niektórych dziwactw, że niezawodnie jest już w niebie - rzekła pani.

— Jaki ten pokój smutny! — mówił mąż. — W nim straciliśmy Kazia, teraz matkę...

— Co się zaś tyczy szkatułki — wtrąciła żona — to najlepiej jej nie otwierać. Człowiek jest słaby, a rozumiem, jakby mi było przykro, gdyby nasz Władzio nie spełnił mojej ostatniej prośby. Chociaż... łatwo bym mu przebaczyła, gdyby mu to było do szczęścia potrzebne.

— Zmów pacierz i idźmy spać.

— Trzeba dobrze okno zamknąć. Czy masz klucz od tego kufra, w którym leży szkatułka? — zapytała pani.

— Na cóż te ostrożności?

— Są konieczne, gdyż jeżeli pamiętasz, mama przy całej służbie o szkatułce mówiła. Ludzie ci wiedzieli o tym, że nieboszczka miała pieniądze, trafić się więc może, że ktoś łakomy...

— Nie lękaj się! Jeszcze dla ludu naszego świętą jest własność zmarłych. No, idźmy!...

I wyszedł pan Jan, a za nim żona, która obejrzawszy troskliwie okno zapuściła roletę i drzwi zamknęła na klucz.

Już kładąc się spać pani zapytała męża:

- Czy to prawda, że twego wuja liczono na pół miliona?

- Coś około tego.

- Wiś sama była warta trzykroć, a gdzież reszta?...

- Osiemdziesiąt tysięcy gotówki poszło do podziału. - Gdzież więc sto dwadzieścia?...

- Spij spokojnie! - rzekł pan Jan.

- Dobranoc ci! - odparła żona. Po chwili odezwała się znowu:

- Wszakże matka u nas wydała najwyżej dwadzieścia tysięcy?

— Daj spokój!... co nas to już dziś obchodzi?... Umilkli oboje, ale żadne z nich do rana zasnąć nie mogło.

Wstali wcześniej, strudzeni, zamyśleni i wzajemnie unikający swoich spojrzeń, choć każde było

pewne, że zna myśli, jakie trafiły drugie z nich.

Po południu na środku sali ustawiono katafalk. Przyjechał proboszcz, kilku sąsiadów, zebrali się domownicy. W chwili gdy ciało nieboszczki, w czarne szaty przybrane, miano złożyć do ostatniego schronienia, ukazał się pan Jan z małą szkatułką w rękach.

— Matka moja — rzekł do obecnych — nie chciała się rozłączać z tą pamiątką, którą tu składam czyniąc zadość jej woli.

Powiedziawszy to umieścił szkatułkę na dnie trumny i przykrył ją poduszką wiórami wypchaną, na której niebawem spoczęła martwa głowa babuni.

Panią Janowe tak wzruszył prosty ten obrzęd, że dostała spazmów i przez pół godziny leżała jak drzewo sztywne.

Tymczasem dwaj silni fornale ustawili trumnę na katafalku, kobiety otoczyły ją wazonami kwiatów, a organista zapalił sześć białych świec woskowych. Otworzono drzwi, i odtąd dobrzy ludzie bez przeszkody wchodzić tu mogli w celu odmówienia- pacierza za duszę zmarłej i przypatrzenia się najparadniejszej pańskiej komnacie.

Po modlitwie obdarty pastuszek od świń powiedział do żony parobka:

- To ci dopiero izba: rychtyczek jak kościół. Ino że kropielnicy przy drzwiach zdybać nie mogłem.

I podrapał się rzęsiście, może z podziwu, a może z innych powodów.

- Jaki to tam kościół zaś! - odparła parobczycha - kiej w nim świętych nie ma.

— Nie ma teraz, bo ich wynieśli, ale za to w sieni widziałem takiego ci świętego, że i w kościele nie zdybie. Mówię wam... ruchał się, klękał, żegnał się, wstawał, aż mnie ciarki przechodziły.

Parobczycha w ręce klasnęła:

— Co ty gadasz, chłopak?... toś ty cud widział!...

— Oj, nie mówcie tak, bo mi strach!... — prosił pastuch, okrutnie zmieszany.

— Ma się wiedzieć, że cud, oj la Boga!... Niańko! — zwróciła się parobczycha do piastunki — wiecie wy, że przy Walku święty ruchał się na hańtym obrazie, co w sieniach stoi.

— Na jakim obrazie?... W sieniach żaden obraz nie stoi — odparła wystraszona niańka. — Chyba, że go teraz wynieśli... Gadaj, chłopak, jak obraz wyglądał, może to nieboszczyk ojciec pana, a mąż nieboszczki, po jej duszę zstępował z portretu?...

— Powiedźże, Walku, jak wyglądał święty! — nacierała parobczycha chłopca, któremu zimny pot ciało oblał.

- No, jak!... czy ja ta wiem jak?...

- Jakże był ubrany? - spytała niańka.

- A tak... był w parciance...

- Głupi! to nie parcianka... A buty miał czerwone?... - indagowała niańka.

- Nie!... boso był...

- A na głowie miał aksamitną czapkę z barankiem?

- Nie!... ino trzymał w garści kapelusz... - odpowiedział chłopak, któremu już się na płacz zbierało.

Niańka odstąpiła parę kroków i z pogardą zmierzyła go od stóp do głów.

- Oj, ty ryfo - rzekła. - Tożes ty samego siebie w lustrze widział, a gadasz o świętym!... Żeby wszyscy tacy święci byli, to by człowiek pacierza zapomniał!

— Może to i lustro!... Pewniakiem, że lustro! bo przecie żeby cud miał być, to by się prędzej jegomości i panom pokazał, a nie pastuchowi od świń — zakonkludowała parobczycha.

I poszli oboje z chłopakiem, który był jakiś nieswój. Jeżeli nie widział cudu, to go ludzie

wyśmiewają, a jeżeli widział, to jeszcze gorzej — bo strach! Słowem, przytrafił się pastuchowi wypadek na oba końce zły!

Z tym wszystkim, ku wieczorowi, między dworskimi ludźmi poczęła krążyć pogłoska, jako po ustawieniu zmarłej w trumnie, nieboszczyk mąż jej, co wisiał na portrecie wyniesionym do drugiego pokoju, zdjął czapkę, ukląkł i mówił pacierz za duszę. Wieść ta wyszła od niańki, obiegła kredens i dostała się na folwark. W kuchni o niej tylko mówiono, a żadna dziewucha za skarby świata po zachodzie słońca nie wytknęłaby nosa na dwór.

Gdy zapadł zmrok, przy trumnie nieboszczki została tylko babina spod kościoła. Słyszała już i ona o cudownym portrecie, i było jej markotno. Dostrzegła to widać synowa zmarłej (niech jej Bóg da wszystko dobre na świecie!) i nie chcąc dręczyć babiny poczęstowała ją wódką i pozwoliła iść spać do kuchni.

Starucha przez ceremonią wzdrygała się, mówiła, że się zmarłych nie boi, lecz pani Janowa dla zwalczenia jej skrupułów wydała rozkaz stanowczy, którego trzeba było usłuchać. Poszła tedy baba błogosławiąc dziedziczkę i myśląc o wygodnym spoczynku między żywymi na świeżej słomie.

Dziewuchy ucieszyły się bardzo z jej przybycia. Dzień jutrzejszy, w którym miano pochować nieboszczkę, był jak święto, wołały zatem nie kłaść się spać wcześniej, ale za to dłużej gadać o strachach. Ponieważ spodziewano się gości, więc lokaj z pokojówką ładowali talerze i nakrycia, a kucharz przygotowywał statki. Z tych powodów ludzi w kuchni było dużo, a gadania jeszcze więcej.

Kiedy babka weszła, dziewuchy posądziły ją jako szanownego gościa przy piecu na ławie i przysunęły do niej śliczny wytarty pień, na którym gospodyni wnet postawiła misę zacierek mlekiem zabelonych i drugą kartofli ze skwarkami, molestując, aby wszystko to zjadła za dusze zmarłych. Pobożność staruszki nie zwykła była cofać się przed podobnymi intencjami, lecz siły już nie dopisywały. Po zacierkach zaczęła dyszeć, a pod koniec kartofli tak ją sparłb, że z wielkim utrapieniem ducha musiała, łyżkę odłożyć..

— Oj, chyba nie wydażę już, moiście wy! — jęknęła do gospodyni.

Gospodyni, pomiarkowawszy widać, że objętość misek nie pasuje do wzrostu babiny, odparła:

- Ii! nie frasujta się!... Bóg miłosierny i to przyjmie na chwałę swoją, byle ofiarować sercem szczerem.

- Oj! szczerem... oj! szczerem... aż mnie zatchnęło!... Sprzątnięto miski i odsunięto pień, aby staruszka

mogła lepiej tchu złapać. Jakoż we dwa pacierze przyszła do siebie, a nawet zrobiło się jej rażno. Na kominie dogorywał już ogień, oblewając część sufitu, ścianę i półki z garnkami żółtoczerwonym światłem. W przeciwnym rogu wielkiej kuchni, obok tapczana i wiszącej nad nim galeryjki do spania, tlił się naftowy kaganek, przy którym lokaj przecierał talerze i ustawiał je w kolumny. Dziewuchy, ukończywszy robotę i gadanie, ziewały po kątach, w sieni stękał chory parobek, a w grubie świerszcz świergotał.

Wówczas Magda odezwała się do Franki:

— Widziałeś tę skrzynkę, co ją dziedzic nieboszczce pani włożył do trumny?

— Com nie miała widzieć? — odparła ponura Franka opierając brodę na rękach.

— Tam ponoć jest kupa pieniędzy?

— Oho! I jeszcze jaka!... Lokaj położył ścierkę i słuchał.

— A wyjęłabyś teraz pieniądze spod głowy nieboszcz-ce?...

Lokaj zatrzęsł się.

— Tfy! pokusa!... — mruknęła Franka. — Ażeby tam były wszystkie skarby, jakie ino są na świecie, to bym nawet na progu nie stanęła w tej izbie.

— Cha! cha! cha! — roześmiał się lokaj i przybiegł do dziewczuch z zaiskrzonymi oczyma. — Głupie wy!... ot, chamska krew... umarłego się boi!... A wiesz ty, że taki, co w trumnie leży, znaczy tyle, co zdechły pies albo koń?... Wrony, robaki go jedzą, szczury na nim odzienie szarpią, a ja bym miał go się bać?... Starą, jeszcze kiedy żyła, zmógł-

bym jednym palcem, a dziś cóż ona mi zrobi?... Z trumny bym ją wyrzucił, nie tylko skrzynkę wydobyl!...

Przestraszone dzikim wyrazem jego twarzy dziewczuchy poczęły się tulić do siebie. Lokaj zmiarkował się widać i nagle dodał:

- Ale gdzie tam są jakie pieniądze w tej skrzynce!... Wszystko to głupie gadanie ludzkie!...

Odwrócił się i szybko poszedł do stołu, ale robota już mu się nie wiodła.

Baba słuchając tej rozmowy kiwała głową.

— Prawda temu — zapytała jej ciekawa Magda — że umarłych nie ma się co bać?... W imię Ojca i Syna... żeby nie wymówić w złą godzinę...

— Bać się nie ma czego, ale i wojować z nimi niedobrze! — odparła starucha.

— Słuchajta, dziewczki!... słuchajta! — rzekła gospodyni siadając.

Lokaj z gorączkową energią już po raz drugi z kolei zaczął wycierać i rachować talerze.

— Był sobie jednego razu szynkarz — mówiła babka — co założył się z kumem swoim o kwartę wódki, że pójdzie do trupiarni, gdzie stał chłop na cholere zmarły, i onemu trumnę otworzy...:

— Nie szczypajże mnie, ty paro, Magda! — ofuknęła Franka.

— Kiej się strasznie boję!...

— Cichojsza, dziewczuchy! — odezwała się gospodyni.

- Jak rzekł, mówię woma - ciągnęła babka - tak zrobił...

- Oj! nie gadajta już, moja serdeczna babulu!...- prosiła Magda dygocząc.

- No, to nie będę...

- Eh!... to już chyba gadajta...

- I szedł se zatem on szynkarz, co się założył z kumem, do trupiarni, do chłopca na cholere zmarłego, ale że drzwi były zamknięte, więc patrzajta się, wlaźł oknem, wlaźł wybitym...

- Boga w sercu nie miał czy co, żeby aż wybitym oknem łązić?... - szepnęła gospodyni.

- Jak, mówię wam, wlaźł po ciemku, tak se ognia skrzesał, żeby chłopca ujrzyć. Ale zobaczył tyło trumny jego, w kącie na marach stojącą...

— O, Jezuniu!... Jezuniu! — wrzasnęła nagle Magda zrywając się. — A dyć tu cosik siedzi pod ławą i łapie mnie za nogi!...

— Cicho bądź, głupia! — zgromiła ją Franka. — To ja chciałam się podrapać, a ona już krzyczy, jakby w nią złe wlaźło.

— Dmuchający sobie zatem on szynkarz na hubkę, podszedł do trumny i zdjął wieko. Aż ci tu raptem podnosi się nieboszczyk, ten chłop, co niby na cholere zmarł, i pyta się: „Gdzie ja jestem?... wszelki duch Pana Boga chwali!” — „A gdzie masz być? — mówi szynkarz — jużci że w trupiarni, boś umarł.” — „Co miałem umrzeć?” — mówi chłop; ale jak się pomiarkował, że siedzi w trumnie, tak dalejze molestować szynkarza: „Bracie kochany! wyprowadźże mnie z tego nieszczęścia, widzisz przecie; jako nie jestem nieboszczyk.” A szynkarz mu na to (bo miał już dobrze we łbie): „Żebyś ty nie był nieboszczyk, umarły jak się należy, to by cię nie opisali i tu nie postawili.” I zamknął wieko, aż z chłopca naprawdę duszę wycisnął.

- Oj, dla Boga, już chyba nie wytrzymam! - jęczała Magda.

- Ej, cicho... bo jak złapę na cię drewna! - upominała ją Franka.

- Takim sposobem, mówię wam - ciągnęła starucha - szynkarz zrobił swoje jak prawdziwy

chwiat, ale w końcu i jemu śmiałości zabrakło. Bokiady przez okno, moiście wy, wracał na powrót do kuma, zaczepił się kapotą o gwóźdź... Jedną rażą, zmiarkujta sobie, jak nie krzyknie: „Kumie, ratuj! bo mnie nieboszczyk złapał!...” - i bęc przez futrynę. Kum-ci, jeszcze z jednym chłopem, jak nie pójda w nogi, nie oglądający się!... Wrócili dopiero p świtaniu, ale już ze szynkarza był ino trupeczek zawieszony kapotą o gwóźdź...

Lokaj w tej chwili upuścił na ziemię talerz, który się w drobne kawałki rozbił.

— Babskie plotki! — krzyknął zmienionym głosem. — Taki szynkarz, co już z umarłym gadał, gwoździa by się nie zląkł! ... Zwłóczą się tu tylko spod kościoła i rozpowiadają bajki, żeby ludzie po nich zasnąć nie mogli.

W tej chwili skrzypnęły drzwi od sieni, dziewczuchy krzyknęły strwożone, a w progu ukazała się dziedziczka.

— Nie bójta się, to przecież jaśnie pani! — uspakajała je gospodyni.

Gdy na panią Janowę upadł blask ognia, zdawało się obecnym, że twarz jej jest żółta jak wosk, a lista sine.

— Czy jest tu babka? — zapytała dziedziczka.

— Jestem, jaśnie pani!

— Czy dali wam jeść, wygodną pościel? — mówiła prędko i głosem urywanym.

— I jeść dalim, i posłanie będzie — odparła gospodyni.

- No, to dobrze, zostańcie tu z Bogiem. Dlaczego Józef jeszcze nie śpi?

Lokaj drgnął i ledwie zdążył wymówić:

- Ja? . . .

- Kładź się i ty, kładź, bo jutro rano musisz wstać.

Dobranoc wam! . . .

Powiedziawszy to dziedziczka wyszła. W kilka minut później zdawało się obecnym, że jeszcze zagląda przez okno. Ale to pewnie zdawało im się tylko.

W pół godziny lokaj wrócił do kredensu, dziewczuchy i babka układały się pokotem na tapczanie i ławkach. Ogień na kominie ledwie tlił się, ale za to coraz głośniej świerkały świerszcze i bzykały muchy po kątach, borykające się z pajakami. Zaległa cisza, którą mąciły tylko oddechy śpiących i urywane wykrzykniki bojaźliwej Magdy, trapionej widać przez jakieś przykre marzenia.

Dobrze już po północy w pokoju państwa Janów rozległ się szmer, jakby kto ostrożnie bosą nogą po skrzypiącej trochę podłodze stapał; stuknęło krzesło, zgrzytnęła klamka, i w sieni, która do sali wiodła, słabe promienie gwiazd przez szklane drzwi oświetliły postać pani Janowej ubranej w bieliznę.

Kobieta szła tak powoli i cicho, że zdawało się, iż stoi w miejscu jak posąg. Kosmyk ciemnych włosów wysunął się jej spod czepka na szyję. Jedną rękę wyciągnęła drżąca naprzód, jakby lękając się potknąć o niewidzialną przeszkodę, drugą przyciskała serce, które biło rzadko i nieregularnie; z jakimś wewnętrznym odgłosem przypominającym dźwięk dzwonu. Sekundy wydłużały się w jej wyobraźni, najmniejsze skrzypnięcie w podrażnionym słuchu robiło się łoskotem. Myślała, że w tej chwili dotknie ręką drzwi salonu, a gdy przez jedno mgnienie nie uczuła ich pod palcami, ogarnął ją niezmierny przestach.

Jeszcze krok i stanęła na progu.

W salonie panował zmrok, wśród którego rozplýwało się jakieś mdłe, drgające światło. Sufit był szary, podłoga tak ciemna, że wydawała się być głębią przepaści. Na ścianach bladej, nieokreślonej barwy rysowały się wielkie, czarne cienie. Ten jeden - to cień krzyża, który stał w głowach zmarłej, ten drugi...

Pani Janowa zdrewniała, zdało jej się bowiem, że drugi cień zmienił miejsce i odsłonił lampkę... Przetarła oczy - lampka znowu zasłonięta i - znowu ją widać!...

Nagle przy trumnie gwałtownie zaszeleściły kwiaty, z głuchym łoskotem posunął się ciężki cynowy świecznik, lampka zgasła i w sali rozległy się dwa okrzyki. Na podłogę upadł jakiś przedmiot i ktoś stojący przy katafalku uciekł w stronę kredensu.

- Ratunku! - jęknęła pani Janowa.

Porwał się ze snu pan Jan i zapaliwszy świecę wybiegł do sieni. Tam spotkał żonę, prawie obłąkaną ze strachu.

Dużo czasu upłynęło, nim ją zdołał otrzeźwić, bo we dworze nie było nikogo ze służby. Wreszcie przemówiła:

— Ktoś chciał ukraść szkatułkę, ale ją rzucił na ziemię...

— Więc byłaś tam?

— Byłam!... Przynies ją, leży niedaleko kredensu—

— Więc byłaś... I jeszcze o niej myślisz?...

— Myślę o niej — mówiła gwałtownie — bo to majątek naszych dzieci: Władzia i tego, które przyjdzie na świat...

— Więc ty nie. lękasz się swego czynu strasznego, tylko tego, że ktoś mógł ukraść szkatułkę?... W takiej chwili, kiedy mogłaś życie utracić? — pytał przerażony mąż.

— Twoje to niedołęstwo doprowadziło mnie do tego! — mówiła dygocząc ze wzburzenia. — Uległeś kaprysowi starości, skąpstwu:...

- Milczże przynajmniej wobec śmierci!

- Nie będę milczeć!... Całemu światu powiem, jaki jesteś ojciec i mąż!... Uległość dla zmarłych, którzy już niczego nie potrzebują, zrobiła cię głazem dla żyjących... Doprowadziłeś mnie do tego, żem musiała postawić na kartę życie, aby uratować majątek, który skąpstwo oddało na pastwę złodziejom!... Przynies szkatułkę albo sama drugi raz pójdę po nią i będziesz miał od razu dwa... trzy pogrzeby. Słyszysz?... Trzy!...

Zaciekłość kobiety miała taką siłę, że pan Jan nie mógł już się jej oprzeć. Zgnębiony wyszedł i po chwili powrócił ze szkatułką.

- Masz! - rzekł kładąc ją na łóżku. - Sama otwórz i zabierz wszystko, co tam jest, dla siebie. Ani ja, ani dzieci korzystać...

- Podaj mi klucz! - przerwała rozgorączkowana. - Gdy zobaczysz sto tysięcy, przemówisz inaczej...

Pan Jan wyszukał klucz w biurku, oddał go żonie i usiadł na krześle, ukrywając twarz w dłoniach. Flegmatyczny z natury pocziwiec ten upadał pod nawałem wzruszeń, jakich nie przeczuwał nigdy.

Szczęknięty zamek, odskoczyło wieko szkatułki... Pan Jan machinalnie podniósł głowę i zobaczył w rękach żony niebieską wypłowiałą sukienkę dziecienną tudzież pukiel jasnych włosów...

— To pamiątki po Kaziu! — szepnęła pani Janowa i zemdlona pochyliła się na otwartą szkatułkę.

Sukienka, w której umarł wnuk ukochany, i promień jego włosów były to jedyne skarby, jakie babka chciała zabrać ze sobą do grobu!

Tej samej nocy znikł ze dworu lokaj Józef. Tułał się on jakiś czas po okolicy, a w końcu dostał się do więzienia za kradzież.

Z panią Janową było jeszcze gorzej. Po owej nieszczęsnej nocy musiała położyć się do łóżka, a rozdrażnienie nerwowe nie opuściło jej już nigdy.

- Tyś winien wszystkiemu! - mówiła nieraz do męża. - Tyś znał swoją matkę i nie powinieneś być dopuścić, ażebym ją, tę świętą kobietę, posądzała o skąpstwo, o chęć ukrycia pieniędzy z krzywdą

wnuków!...

A kiedy indziej znowu lamentowała w inny sposób:

- Zresztą, czy były, czy nie były pieniądze w tej szkatułce, co mnie do nich? Skoro nieboszczka nie darowała nam ich, więc tym samym nie były naszą własnością. Po com

Przygotowano na podstawie bookini.pl